

Magda  
K N E D L E R

SZEPTY  
Z WYSPY  
SAMOTNOŚCI

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2020

© Magdalena Knedler, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Katarzyna Onderka, Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki:

© M T Elgassier/unsplash i Meal Baliand/unsplash

Zdjęcie autorki na okładce: Dariusz Kobucki / Studio INIGO

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-1756-6

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: Grafarti • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0  
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

I

Szept Zoi i duch Kassandry

## Spinalonga, 1936

### Thimios Demetriou, szósty rok choroby

#### Wpis w dzienniku

Nikt nie mówi już o dziewczynie. Śmierć na wyspie umarłych nie jest niczym niezwykłym, nawet taka śmierć. Może ktoś o niej jeszcze pamięta, może wspomina jej dziwny kolor włosów – jasny, prawie popielaty – kontrastujący z oliwkową, złocistą karnacją. Może ktoś, mijając dom, w którym mieszkała tak krótko, wspomina jej kolorową lekką sukienkę. Ja wspominam. Delikatny jak mgła materiał, szeroką falbankę, luźny krój i odważny geometryczny wzór. Do tego mały kapelusik, torebka, pantofelki na niewysokim obcasie, z cienkim paseczkiem. Ubrana jak na wieczorny spacer eleganckimi ulicami Aten w towarzystwie równie szykownego kawalera. Niezamężna, ale odważna. Nie miała w sobie nic z nieśmiałych greckich dziewcząt, panien na wydaniu, ze skromnie opuszczonymi głowami, ułożonymi na kolanach dłońmi, gładko zaczesanymi włosami, z łydkami obleczonymi w ciemne pończochy. Przypominała raczej dziewczęta i młode kobiety z zamożnych postępowych rodzin lubujących się w zagranicznych podróżach, mających krewnych i przyjaciół wśród polityków i arystokratów, jak również przynajmniej jedną dobrą znajomą gdzieś w angielskim pałacu, z którą można pić herbatę o piątej i rozmawiać o jej letniej rezydencji na Korfu. Nie znaliśmy się, ale już wiedziałem, że jest niezależna, dobrze wykształcona, śmiała i że polega na swoim własnym osądzie. Przypominała mi Aliki Diplarakou, która sześć lat temu jako pierwsza Greczynka zdobyła

tytuł Miss Europy. Z włosów nie, bo Aliko jest czarnowłosą pięknoscia, lecz z kształtu twarzy, oczu i figury. Dziewczyna, która przybyła do nas na wyspę, miała to samo spojrzenie – spojrzenie nad wiek mądrej osoby. Wyobraziłem sobie, że podobnie jak Aliko zna biegle kilka języków i doskonale orientuje się w greckiej literaturze. Stworzyłem ją sobie w wyobraźni, ale naprawdę poznać nie zdążyłem.

Tak, może ludzie myślą w ten sposób, mijając dom dziewczyny o popielatych włosach. Może każdy zbudował już sobie w głowie jakąś jej historię sprzed wyspy. Może, ale raczej nie. Mamy swoje własne historie i – jeszcze – swoje własne życie. Tutaj w stwierdzeniu „mam swoje życie” zawiera się cały dramat naszej więziennej egzystencji. Każdy z nas zjawiał się na wyspie z wyrokiem. Wyroku nie można zignorować i nie można o nim zapomnieć. Nie sposób, ot tak, odtworzyć tu reguł z życia na wolności, zbudować od zera wspólnoty i kazać jej funkcjonować na odwiecznie znanych zasadach. Próbuujemy, ale to zawsze trwanie w cieniu. Poza wyspą także znają hasło *memento mori*, a jednak tutaj ulotność i nietrwałość są niemal namacalne. Budujemy więzi świadomi ich nietrwałości, angażujemy się w związki i kochamy w strachu o jutro. To nie tak, że nigdy nie jesteśmy szczęśliwi. Bywamy. Poza wyspą szczęście trudno zrozumieć jako zjawisko terazniejsze, trudno je uchwycić i smakować. Szczęście jest raczej czymś, co wspominamy, co rozumiemy po miesiącach i latach, nabrawszy odpowiedniego dystansu wobec minionych zdarzeń, ale nie tutaj. Tutaj uczymy się doceniać terazniejszość, zanim się skończy. Patrzymy więc na granatowe morze i przez chwilę czujemy się szczęśliwi. Jemy oliwki i ser, pijemy wino. Śpiewamy. Jeśli ktoś może, tańczy. Jeśli ktoś umie – flirtuje, uwodzi, kocha. Widzi piękno pod warstwą brzydoty, wdycha zapach słonego wiatru, chodzi na spacer, dyskutuje z przyjaciółmi w kafenionie, czyta gazety i książki. A to

wszystko z nieodłącznym przekonaniem, że trzeba te rzeczy robić, póki można. Zanim będzie za późno.

Znam starego Elefteriosa, który mieszka na Spinalondze od trzydziestu jeden lat. Tyle można żyć z trądem, o czym ja sam, syn zapalonego znawcy i obserwatora zjawisk biologicznych, przekonałem się z zaskoczeniem. Kiedy stawiano moją diagnozę, powiedziano mi – ubierając cały komunikat w eleganckie medyczne terminy – że nie umrę jutro. Mimo wszystko nie spodziewałem się, iż takie „nie jutro” może wynosić trzydzieści lat. Elefterios, choć zdaje się cierpieć na lżejszą postać choroby, jest już przez nią mocno zmieniony. Dopiero od niedawna korzysta z dobrodziejstw nowego, przyzwoicie wyposażonego ambulatorium. Od niedawna, choć leprozorium działa od lat trzydziestu dwóch i przebywają tu tylko ludzie chorzy. To jednak wyjątkowi chorzy. Tacy, których się nie leczy, ale izoluje. Na których prowadzi się obserwacje. Z którymi coś trzeba zrobić, bo się przecież wszystkich naraz nie odstrzeli. Odgradza się więc nas od reszty świata, bo zarażamy, lecz także dlatego, że przykro na nas patrzeć. Nie każdy ma siłę pracować, lecz ci, których kończyny uległy zniekształceniu lub całkiem odpadły, którzy potracili wzrok i pozapadały im się nosy – tak, nadal żyją! Co więc z nimi zrobić? Leczyć ich? Jak i czym? Zostawić, aby głodowali i umierali w brudzie? Nie godzi się, nie w dwudziestym wieku. Wypłacić rentę? Owszem. Niewysoką, ale taką, która zapewni podstawy materialnego bytu i umożliwi handel z pobliską wioską. Dzięki temu jakoś pchamy ten wózek dalej. My dzięki ich towarom, oni dzięki naszym pieniądzom. Wiedzą, że mogą nam podać dowolną cenę za swe produkty, bo przecież nie będziemy negocjować. Nie będziemy szukać konkurencyjnych ofert.

Elefterios ma jedno oko zdrowe i czasem łypie nim na mnie kpiąco. Co my tam wiemy o umieralni, mówi, umieralnia to była w 1905 roku. Pusto, gorąco, ruiny wszędzie, gołe kamienie. „Ja

jestem człowiek ze wsi, a dziadostwa takiego jeszcze nie zasnalem”. Turcy dopiero co poszli. „Mówiono, że Spinalonga od lat się wyludniała, kiedyś tu żyło ponad tysiąc ludzi, a przed nami ledwie powyżej dwustu”. Domy się waliły, nie było komu remontować. Elefterios zawsze się w tym momencie zamyśla, robi pauzę, a później z lekkim wyrzutem dodaje, że pewnie Turcy w rujnowaniu dopomogli, co nieco podpalili. Opuszczali Spinalongę z goryczą, nie chcieli rekompensaty pieniężnej. Elefterios ich w sumie rozumie, trudno przyjąć pieniądze za utracony rodzinny dom i jeszcze za nie podziękować. „Ciężko odbijać od brzegu z myślą, że w moich czterech ścianach zamieszka plugawy trędowaty”, mówili. Nigdy się w takich chwilach nie odzywam, bo przyplłynąłem tu dwadzieścia sześć lat po Turkach, ale starsi mieszkańcy mówią, że Turcy szybko stąd uciekali, kiedy się dowiedzieli, kto ma wyspę zasiedlić. Zostawiali ponoć w popłochu część swoich rzeczy, mebli, sprzętów... To jak to w końcu jest, pytam czasem Elefteriosa, zostawiali czy niszczyli? Nie umie odpowiedzieć. Nie może machnąć ręką, ale wiem, że na pewno by chciał. Wiem też, że trzydzieści jeden lat temu na wyspie korzystano jeszcze z weneckich cystern na deszczówkę, a Wenecjanie odeszli stąd w 1715 roku. Wiem, że nie było toalet lub choćby dołów kloacznych i odchody wyrzucano w iście średniowieczny sposób – na zewnątrz, by nie zalegały w domu. Ewentualnie, jeśli ktoś miał siłę, fatygował się z wiaderkiem na mur i chlustał jego zawartością w nasze piękne turkusowe morze. Wiem, że w wielu domach nie było podłóg, dachów i drzwi. Kto nie wie, jak wygląda zima na Krecie, temu się może zdawać, że jest tu ciągle ciepło, a tak nie jest. Wiem, od Elefteriosa i innych, a ci wiedzą od jeszcze innych, co się o Spinalondze mówiło między ludźmi. Że to umieralnia i śmietnik. Że się tu pije, bluźni, kopuluje i czeka na śmierć. A nawet kiedy było już lepiej, kiedy zakwitł handel, przybyli robotnicy z zewnątrz i pielęgniarki, przysłano kapłana,

by niósł ludziom pociechę duchową, kiedy domy nabrały godziwych kształtów i można w nich było po ludzku mieszkać, kiedy się trochę uprzątnęło i ułożyło, a ludzie zaczęli budować wspólnotę, odtwarzając znane sobie rytuały związane z cyklem natury i świętami religijnymi – nawet wtedy wyspę odwiedził francuski lekarz, który później opisał ją we francuskiej gazecie jako miejsce, gdzie chorzy przeklinają swój los, a trądu nikt nawet nie próbuje leczyć. Było to dwa lata przed moim przybyciem na Spinalongę. Wszyscy mi powtarzali, że teraz już idzie ku dobremu. Że ja nie wiem, jak to było dawniej, bo gdybym wiedział, miałbym w oczach jeszcze większy strach. Pewnie mają rację.

Na wyspę przypląwa lekarz od ciała. Tym, co w głowie, nikt się nie zajmuje. Nikt i tak by nie umiał, nawet gdyby chciał. Ale nikt nie chce. Sam zresztą nie wiem, jak wytłumaczyłbym komuś dramat rozgrywający się w mojej głowie, z czym walczę każdego dnia, wokół czego skupiają się moje myśli i pragnienia. Nikt, kto nie doświadczył podobnego losu, nie wie, że wszystko zamyka się w teraźniejszości, bo przeszłość nigdy nie zaistnieje. Przyszłość, którą można by planować i rysować w wyobraźni, tak jak się rysuje wielką panoramę, rozmieszczając na czystej płaszczyźnie płótna figury i obiekty. Moje życie nie jest już czystą płaszczyzną, są na nim plamy i zabrudzenia. Mam tylko przeszłość, którą wspominam, i tę chwilę. Właśnie tę, kiedy piszę.

Pytam więc: co z naszymi umysłami? Czy dożyję dnia, w którym na wyspie postawi stopę lekarz dusz? Otrzebie ubranie, rozejrzy się, zmruży oczy, wystawi twarz na wiatr? Czystą twarz o jasnej, gładkiej skórze. A później powie:

– Rozumiem was.

Nie ma nikogo takiego. Żeby nas zrozumieć, trzeba podzielić nasz los. Trzeba dołączyć do wspólnoty, by pojąć, co to znaczy być żywym, a jednak umarłym.



Ja sam należę do wspólnoty już od sześciu lat. Pierwsza noc spędzona tutaj, w nowym domu, którego długo nie potrafiłem nazwać „moim”, była najtrudniejsza. Chciałem skończyć ze sobą od razu, nie mieściło mi się w głowie, że mogę rozpadać się dzień po dniu, kawałek po kawałku. Dopiero później zmieniłem zdanie. Zrozumiałem, że na wyspie ciszy też toczy się życie, że każdy człowiek trzyma się go kurczowo, celebrując dni, które jeszcze zostały. Tutaj mamy to, czego nie mogliśmy otrzymać nigdzie indziej. Namiastkę normalności. Codziennosc ubraną w określony kształt. Poczucie przynależności do grupy, której członków łączy wspólne doświadczenie i to samo piętno od wieków wymuszające izolację i wykluczenie ze świata zdrowych. A jednak pierwszej nocy chciałem ze sobą skończyć, bo diagnoza odebrała mi dawne życie, dom, bliskich i wszelką nadzieję. Nie potrafię opisać, co wtedy czułem. Teraz zastanawiam się, czy dziewczyna o popielatych włosach czuła to samo.

Ludzie mówią, że tak. Powtarzają to w kółko, odkąd lekarz wyraził przypuszczenie co do zażycia trucizny. Mam zamiar z nim porozmawiać, zadać kilka pytań. Wiedziałem, że nie będzie dociekał przyczyn jej postępowania, bo tutaj to nie pierwszy taki przypadek. Nawet jeśli samobójcy częściej kończą na skałach lub na stryczku, niż sięgają po truciznę. Truciznę trzeba jakoś zdobyć, a przecież my jesteśmy więźniami. Myślę, że dziewczyna wystarała się o nią w swoim dawnym świecie i przywiozła na wyspę. Może chciała się jeszcze namyślić? Może miała nadzieję, że zobaczy tutaj coś, pod czego wpływem zmieni zdanie?

Samobójcy. Nazywam ich „pięknymi”. Piękni samobójcy. Ludzie kończą ze sobą wtedy, kiedy mogą jeszcze bez skrupowania patrzeć w lustro i nie boją się widoku własnej twarzy. Jak ona.

Jak ona? Czy na pewno?

Dziewczynę pochowaliśmy na cmentarzu, odprowadziłyśmy ją tak, jak odprowadzamy każdego. Dla nas to żadna nowość

przejsć tę drogę. Ona była tu wprawdzie krótko, ale przybyła z identycznych powodów co reszta. Pozostała młoda i piękna. Wszyscy zaakceptowali to, że targnęła się na swoje życie, nikt się specjalnie nie dziwił. Śpiewaliśmy, modliliśmy się, kroczyliśmy za trumną, ktoś cicho łkał, ktoś głośno zawodził. Nie chodziło tylko o smutek z powodu czyjejś śmierci, lecz o smutek z powodu własnej. Kiedy kogoś chowamy, jest tak, jakbyśmy chowali samych siebie. Wyświechtana życiowa prawda głosi, że wszyscy umrzemy, ale na wyspie te słowa znaczą coś zupełnie innego. Umieramy każdego dnia i każdej minuty, nasze ciała rozkładają się na naszych oczach. Kroczymy w wiecznym żałobnym korowodzie, prowadzeni przez ponurego żniwiarza. Danse macabre. Taniec śmierci. To nasze przeznaczenie.

Tak, zdecydowanie muszę porozmawiać z lekarzem. Wydaje mi się, że dziewczyna połknęła cyjanek. Medyk musi podzielać moje przypuszczenia, bo kiedy wyraziłem je głośno, nie odezwał się, tylko spuścił głowę. Czy się przejął? Jest człowiekiem niepozabawionym empatii, ale nie może przecież wylewać łez z powodu każdego pacjenta. W tym zawodzie musiał się uodpornić, zwłaszcza odkąd przyjeżdża na wyspę. Z początku mówił, że opracuje dla nas lek i że wszyscy wreszcie opuścimy to miejsce. Teraz już tak nie mówi.

Dziewczyna przywiozła ze sobą cyjanek, żeby zapewnić sobie jedyną drogę ucieczki ze Spinalongi, jaka istnieje. Być może zaplanowała to już wcześniej, a plan zamierzała zrealizować tutaj, z dala od rodzinnego domu, by nie przysparzać dodatkowych cierpień bliskim. To rozsądna teoria i najpewniej pokrywa się z rzeczywistością.

A jednak... Jest coś, co nie daje mi spokoju.

Mieszkam najbliżej domu, w którym to się stało. Wcześniej oprowadziłem ją po wyspie, objaśniłem co i jak. Nie narzucałem

się i nie pocieszałem na siłę. Nikt z nas tego nie lubi. Kiedy chciała zostać sama, spełniłem jej prośbę. Skąd mogłem wiedzieć...? Późnym popołudniem zapukałem do drzwi. Zamierzałem zaaptytać, czy nie potrzebuje pomocy, przyniosłem też świeżą wodę i coś na skromną kolację. Wiedziałem, że nie przywozła ze sobą nic do jedzenia. Zaniepokoiła mnie głucha cisza. Nie pukałem ponownie, od razu szarpnąłem za klamkę.

Tamtego dnia lekarz wprawdzie nie odpłynął jeszcze z wyspy, ale kiedy go sprowadzono, nie mógł już pomóc dziewczynie. Zostaliśmy sami w izbie, mężczyźni poszli się zatroszczyć o wino, chleb i oliwę, a kobiety o płótno do owinięcia ciała i poinformować kapłana. Wtedy właśnie doktor półgębkiem wspomniał o truciznie, a ja – konkretnie o cyjanku potasu. Nie wiem, czy jest coś, co równie szybko sprowadza na człowieka śmierć. Na powolnym umieraniu znam się już całkiem dobrze, ale na szybkim – w ogóle.

Być może powinienem znaleźć kogoś, z kim mógłbym o tej sprawie porozmawiać. Dziewczyna na pewno chciała odebrać sobie życie, jednak jest jeszcze coś. To imię, które wyszeptwała, kiedy zbliżaliśmy się do jej nowego domu. Poprosiłem, by powtórzyła, ale ona spłoszyła się i zamilkła. I to spojrzenie, jakie po przybyciu na Spinalongę wymieniła z...

Nie, nie mogę tego zapisać. Nie wolno mi wyciągać tak absurdalnych wniosków. Nie będę z nikim rozmawiał, bo i po co? Wszyscy tutaj mają swoje zmartwienia, własne obawy i złudzenia, że coś jeszcze może się zmienić na lepsze. Wszyscy tutaj, jak już pisałem, mają – jeszcze – swoje własne życie, którego trzymają się kurczowo, nawet jeśli wiedzą, że nic każdego z nas staje się coraz krótsza. Klo to wciąż ją przędzie, Lachesis odpowiada za przydzielony nam los, ale Atropos już unosi dłoń, już wysuwa ostrze, by dokonać ostatecznego, nieodwracalnego cięcia. Mojry

są tu przez cały czas. Trzy boginie przeznaczenia, którego nie da się oszukać.

Za dużo sobie pozwalam. Spojrzenie dziewczyny mogłem przecież niewłaściwie zinterpretować, wyszeptane imię źle usłyszeć. Mieszkam na wyspie od sześciu lat i izolacja z pewnością mi nie służy.

A jednak... to dziwne.

## Kreta, dom z widokiem na Juchtas, 1966

### Notatki Talosa Samarasa

Na strychu ktoś mieszka. Słyszę kroki, stukanie, szuranie, szept. I cichą piosenkę. I ten dziwny, mokry, plaskający odgłos. Dopiero niedawno zrozumiałem, co to takiego. Wtedy gdy na trzynaste urodziny ojciec podarował mi gruby, oprawny w skórę brulion i nowiutkie, lśniące pióro. Bardzo ładne. Tak się chyba mówi o nowych rzeczach, które się dostaje od ojca na urodziny, że są ładne. Nie mam z czym tego porównać, więc nie wiem. Nigdy nie patrzyłem, jak ktoś inny, kto też ma trzynaście lat, dostaje od ojca brulion i pióro, ani nie słuchałem, co wtedy mówi. Wziąłem więc przykład z matki. Kiedy moja matka dostaje prezent od ojca, mówi: „Bardzo ładne, dziękuję”. To ja też tak powiedziałem. Starałem się wyglądać poważnie, bo matka zawsze powtarza, że prezenty trzeba umieć przyjmować, że nie można po prostu kiwnąć głową i rozpakować paczki u siebie w pokoju. Ten, kto daje prezent, musi się czuć doceniony. Okropnie to wszystko skomplikowane moim zdaniem. Ludzie w ogóle wszystko komplikują, nawet takie miłe rzeczy jak dawanie prezentów. Potem jest to, co matka nazywa oczekiwaniami. Jak się dostało prezent, trzeba z niego korzystać. Jeśli się go odłoży, znaczy, że prezent był nieudany. Wtedy temu, kto go dał, jest smutno. I nawet jeśli prezent faktycznie jest nieudany, trzeba pokazać, że wcale taki nie jest. Dlatego matka nosi okulary przeciwsłoneczne, które dostała od ojca, duże i w szerokiej białej oprawie. Nie cierpi ich i wygląda w nich głupio, ale nosi. „Nie chcemy sobie sprawiać przykrości, Talosie”...

Ojciec powiedział, że powinienem zapisywać różne rzeczy. Bo zapisywanie jest ważne, „uczy nazywać” i „pomaga zrobić porządek w głowie”. Ojciec tłumaczy literaturę grecką na angielski i angielską na grecki. Sam też pisze – wiersze i dramaty. Dla niego ma to znaczenie. Nie umiałby żyć bez pióra i papieru. Czasem mam wrażenie, że tylko bez tego. Mógłby, na przykład, nic nie jeść, a przynajmniej bardzo niewiele. Bywają dni, kiedy zapomina o posiłkach i karmi się samymi literami. Wtedy do jego gabinetu wpada matka, jest jak burza, rozdrażniona i zachmurzona, i zaczyna bardzo głośno mówić – twierdzi, że nigdy nie krzyczy, tylko po prostu podnosi głos – i machać rękami. Ojciec niechętnie odrywa się od liter i idzie do jadalni, gdzie z miną skazańca zuje oliwki i fetę. I pewnie uważa, że powinien coś mi przekazać, wytłumaczyć, jak ważne są te wszystkie litery, z których tworzy się wyrazy i zdania. A potem powstaje opowieść. Dał mi więc brulion i pióro. Nie mogę go za to winić. Nawet jeśli wołałbym bełę materiału, maszynę do szycia i pudełko dobrych nici. Nie mogę. Skąd miałby wiedzieć, że wołałbym materiał i maszynę, skoro nigdy mu o tym nie powiedziałem? Trzeba więc wzorem matki w wielkich okropnych okularach, w których wygląda jak mucha, nie sprawiać ojcu przykrości i pokazać, że się korzysta z prezentu.

Zastanawiam się czasem, jak to jest z matką. Ile ona mówi mu o tym, czego chce. Ojciec przywiózł ją na Kretę z Londynu, gdzie była „aspirującą aktorką”. Oboje, wspominając o Londynie, używają właśnie takiego określenia. Chodzi o to, że matka chciała występować w filmach, ale udawało jej się to raczej średnio. Pewnego wieczoru po kolacji, kiedy wypija nieco więcej retsiny niż zazwyczaj, spojrzała na ojca z czułością i powiedziała, że ją ocalił od biedy. Była ponoć w tym Londynie sierotą, razem z koleżanką wynajmowały pokój od „jakiejs starej jędzy”, pracowała w domu handlowym i występowała w podrzędnych kabaretach

jako chórzystka i tancerka. Chodziła na castingi, wyszukiwała informacje o zdjęciach próbnych i czekała na swoją „wielką szansę”. W końcu Rudolf Valentino też cierpiał nędzę, zanim go zauważono w Hollywood. Pojęcia nie mam, kim jest Rudolf Valentino. Nigdy nie byłem też w kinie. W każdym razie matka opowiadała dalej, że czasy się podobno zmieniły. Świat odbudowywał się po wojnie i matka miała nadzieję, że się w tę odbudowę jakoś wpisze. Szukano nowych twarzy, świeżości, oryginalności. Matka pochodziła ze starej, ale zubożałej rodziny, jej ojciec, a mój dziadek, zginął podczas wojny w nalocie bombowym. Miała akcent i manieri z wyższych sfer i ani pensa przy duszy. W dodatku wyczekiwany wielki przełom nie nadchodził. Mojego ojca poznała w restauracji, gdzie udała się, by – jak mówi – wydać resztę pieniędzy na dobrą kolację, a później może skoczyć do Tamizy. Nie wiem, czy naprawdę zamierzała to zrobić. Śmiała się niby, ale śmiać się mogła od retsiny, bo często się śmieje od retsiny. Tylko że ojciec posłał jej spojrzenie, które ona sama nazwałaby „znaczącym”, i zaczęła coś z tą opowieścią kombinować. Powiedziała jeszcze tylko, że z ojcem rozmawiali o Byronie, który kochał Grecję. I tak się zaczęło. Podejrzewam, że matka chętnie porzuciła wilgotny Londyn dla słonecznej Krety. Nie wiem tylko, czy nadal jest tak szczęśliwa jak kilkanaście lat temu. Stara się być dobrą, prawie grecką żoną. Gotuje greckie potrawy, kupuje kretańskie wina, choć ojciec wcale tego od niej nie oczekuje. Myślę, że ona po prostu chce być jakaś. A że nie wie jaka, to stara się być trochę kretańska. Rozumiem ją, bo ja też nie wiem, jaki jestem, a chciałbym być jakiś. Myślałem, że dorośli tego nie mają.

Zaniosłem brulion i pióro do pokoju, a później – do czego wstyd się przyznać, bo przecież jestem mężczyzną – zacząłem cicho chlipać. Zajrzałem do szafy, wsunąłem dłoń pod uprasowane i ułożone w kostkę podkoszulki. Były tam moje szkice. Przedstawiały głównie dziewczęce sukienki, więc nikomu ich nie

pokazałem. Tego też się wstydzilem. Co by powiedział ojciec? Czy uznałby, że rysowanie dziewczęcych sukienek także jest sposobem na zrobienie porządku w głowie i nazwanie różnych rzeczy? Na pewno nie. Chlipałem więc dalej, póki nikt mi nie zawracał głowy, bo wszyscy byli czymś zajęci. Słuchałem swojego chlipania. I wtedy zrozumiałem.

To był ten dźwięk. Mokry i plaskający. Spojrzałem w górę. Nad moim pokojem mieścił się strych, z którego nigdy nie korzystaliśmy. Odkąd pamiętam, wejście było – podobno – zamurowane. Ojciec mówił, że nie potrzebujemy strychu. Zacząłem główkować. Przypominać sobie wszystkie te odgłosy poza wilgotnym plaskaniem. Kroki. Kroki na pewno, choć matka usilnie powtarzała, że tylko mi się śnią. To samo z szeptem. I z pieśnią. Próbowałem odtworzyć melodię, ale z moim słuchem muzycznym nic z tego nie wyszło. I trochę... no nie wiem... bałem się wracać do tematu. Matka mogła mówić, że mi się śni to i owo, jednak równie dobrze mogła też uznać, że coś jest nie tak z moją głową. Ja sam tak pomyślałem już dość dawno temu. Z początku trochę się martwiłem, ale później usłyszałem o jednym starszym panu z Archanes. Ojciec nazywał go niegroźnym wariatem i uśmiechał się przy tym – i nie widziałem, aby się specjalnie martwił lub bał. Pomyślałem więc, że nie ma nic strasznego w byciu wariatem, o ile jest się wariatem niegroźnym. A ja byłem bardzo niegroźny. Po pierwsze, chudy, po drugie, nie miałem braci i nie nauczyłem się bić, po trzecie, lubiłem wszystkie żywe stworzenia, zawsze mi było szkoda pacnąć komara albo muchę, no i w tajemnicy przed matką dokarmiałem koty z okolicy. Dopiero jedna tutejsza babcia, też odludek jak my, powiedziała, że one nie powinny pić mleka, bo im to szkodzi. Jeśli któryś z nich ucierpiał, zrobiłem to nienaumyślnie. Powtarzałem sobie, że jestem niegroźnym wariatem, bo tylko słyszę różne rzeczy, a od słyszenia jeszcze nikomu nie stała się krzywda. A jednak teraz, kiedy plaskający, mokry



dźwięk dał mi do myślenia, nabrałem wątpliwości, czy w ogóle jestem wariatem. Być może to wszystko działo się naprawdę?

Tak sobie wtedy pomyślałem. I teraz powoli to sprawdzam. Ktoś naprawdę mieszka na strychu. Wczoraj postawiłem krzesło na biurku, a potem wdrapałem się na górę. Matka padłaby na ten widok trupem, po czym ożyłaby i mnie ukatrupiła. Obmacałem sufit. Wsłuchałem się w... sam nie wiem w co. Była cisza. Powinienem był zejść. Nie myśleć o tym. Zapomnieć. Przyjąć tłumaczenie matki, że to tylko mi się śni.

Jeszcze raz obmacałem sufit. Zapukałem.

Trzy uderzenia.

Zaszumiało mi w uszach i cały się spociłem.

Po chwili ktoś odpukał.

Trzy uderzenia.

Zachwiałem się na krześle i runąłem na podłogę.

Teraz już od kilku dni boli mnie lewy łokieć i biodro. Nie przyznałem się rodzicom.

## Wrocław, czerwiec 2019

Mirek Jung zakończył swoją wypowiedź i uśmiechnął się szeroko. To była obowiązkowa kropka nad „i”, nawet jeśli dziś wcale nie czuł się szczęśliwy. Ostatnie zajęcia w semestrze letnim zawsze wiązały się z dziwną nostalgią i pociągały za sobą szereg konsekwencji. Takich choćby jak wakacje i dużo wolnego czasu, który można dobrze lub źle wykorzystać. Mirek coś o tym wiedział. Teraz jednak zwalczył niewesołe myśli i uśmiechnął się jeszcze szerzej niż dotąd.

– Czy mają państwo jakieś pytania?

Zerknął na studentów z pierwszej ławki. Wiedział, że pytania będą na pewno. Zawsze się pojawiały i dlatego Mirek kończył zajęcia co najmniej kwadrans przed czasem, by została jeszcze chwila na dyskusję, a ta i tak za każdym razem się przedłużała. Czuł satysfakcję. Dzięki kanałowi na YouTube zyskał popularność wśród studentów. Zresztą nie tylko wśród nich. Warto się czasem powyglądać przed kamerą, w końcu cel uświęca środki. Wszystko dla popularyzacji antyku.

– Panie prof.?

Mirek uniósł głowę. Student spod ściany machał ręką, jak gdyby opędzał się od wyjątkowo namolnej muchy. „Pan Marcin”. Tylko on jeden zwracał się do niego w taki sposób i nie było sensu z tym walczyć. Ostatecznie słowo „doktor” ma mniej efektowny skrót.

– Ach tak. Słuchamy.

Nie mógł się powstrzymać od cichego chichotu. Wiedział, czego może się spodziewać po tym chłopaku, ale na swoich zajęciach pozwalał słuchaczom na więcej i dawał im swobodę wypowiedzi.

Zasady decorum przestrzegał jedynie podczas egzaminów. Zawsze ustnych.

– No dobrze, to tak... – Pan Marcin chrząknął. – Ja się zastanawiam nad tym... baubonem...

W sali dało się słyszeć kolejne chichoty. Mirek zaś w najmniejszym stopniu nie czuł się zaskoczony. Przez blisko półtorej godziny omawiał mim Herondasa *Przyjaciółki, czyli Poufna rozmowa*, w którym Koritto i Metro rozmawiają o „szkarłatnym baubonie”, pewnym przyrządzie, uszytym przez szewca artystę Kerdona dla uciechy dam. Jeszcze nigdy nie widział, by studenci tłumaczyli cokolwiek z równym zapałem jak wersy: „Oczy mi wyszły na wierzch ze zdumienia, /Bo naszym mężom nigdy tak nie stają /– Tak między nami – prościutko\*”. Samego przedmiotu nie omówili jednak szerzej, skupiając się raczej na charakterach głównych bohaterek – plotkarek ze starożytnej Grecji, o dziwnie uniwersalnych i ponadczasowych cechach. Pan Marcin z pewnością jednak myślał o czymś zupełnie innym.

– I cóż z nim, Panie Marcinie?

– No bo wtedy nie było baterii – wyartykułował Pan Marcin na jednym wydechu i nawet się nie zająknął.

– A baterie, jak wiemy, nie zawsze są potrzebne, czasem wystarczy giętkość i sprawność manualna – dokończył gładko Jung. – Ostatecznie baubon był rozwiązaniem dyskretniejszym i z pewnością mniej kosztownym niż osobisty niewolnik do wyłącznej dyspozycji pani domu.

W sali zapanowało ożywienie. Mirek parsknął śmiechem. Po niewesołych refleksjach dotyczących złego lub dobrego spożytkowania wolnego czasu nie został ślad. Był teraz w swoim żywiole i z zainteresowaniem łowił strzępy wypowiedzi studentów. Wszyscy

---

\* Herondas, *Mimy*, tłum. J. Ławińska-Tyszkowska, Wrocław 1988, s. 64.

mówili jednocześnie i zrozumienie pojedynczego komunikatu nie było wcale łatwe, niemniej przywykł do podobnych sytuacji.

– Ej, słuchajcie, wiadomo, że Herondas trochę to karykaturalnie przedstawia, ale wychodzi, że te panie, choć albo siedziały ciągle w domach, a jeśli z nich wyłaziły, to zawsze z niewolnicami i nigdy same, wcale takie grzeczne nie były – wołał Pan Marcin, żywo gestykulując.

Jeśli chodzi o częstotliwość wygłaszania oczywistości, nie miał żadnej konkurencji. Bardzo też lubił długie zdania.

– Też mi nowość! – syknęła dziewczyna w czerwonej sukience i zamknęła z trzaskiem notatnik. – Kobiety zawsze stały na straconej pozycji. Wykorzystywano je i pomiatano nimi, nie wspominając o zdradzie. Facetom pozwalano zdradzać żony na prawo i lewo, ale jak tylko któraś biedna kobieta, choćby i królowa, sprowadziła sobie kochanka do alkowy, to zaraz kładła głowę pod topór. Albo mąż sam wymierzał sprawiedliwość. I nie było gadania! Tak to właśnie jest w życiu. Dobrze więc, że choć w starożytnej Grecji jakoś sobie radziły. Mężowie ciągle gdzieś zapyłali, a one w tych domach. Co się dziwić, że chciały mieć swojego niewolnika albo chociaż tego... baubona...

– Ale spółkowanie z osobistym niewolnikiem to jednak jest zdrada małżeńska i nawet jeśli mówimy o starożytnej Grecji... – wtrąciła się nieśmiało jej sąsiadka o mysich włosach.

– Dupa tam! – skwitowała zawczasu czerwona sukienka i wrzuciła notes do torby.

– Ja wam mówię, ci ludzie w antyku byli o wiele swobodniejsi i bardziej wyzwoleni z konwenansów niż my teraz – dołączył do dyskusji chłopak we flanelowej koszuli.

– No właśnie nie, bo przecież przed chwilą była mowa o tym, że kobiety nie wychodziły same z domu! To co to jest za wolność, ja przepraszam bardzo? – zapaliła się znowu czerwona sukienka.

Przez chwilę wszyscy znowu mówili jednocześnie i Jung pomyślał, że lubi ten moment, w którym na jego oczach budzi się w ludziach pasja. Dyplom magistra filologii klasycznej niewiele da Panu Marcinowi, czerwonej sukience i dziewczynie o mysich włosach, nie pomoże im zdobyć świata i zarobić na dom pod miastem. Byli tu, bo chcieli. Zupełnie jak on. Zazdrościł im entuzjazmu, świeżości, naiwności i młodości. Przypominał ich kiedyś, dawno temu.

– Panie prof.?

Mirek ocknął się i utkwiał wzrok w Panu Marcinie. Chłopak wyraźnie czekał na odpowiedź, ale jakie było pytanie?

– Nowy film? – podsunął Pan Marcin.

– Czyj? – podjął zdezorientowany Jung, ignorując chichoty.

– No pana prof.! Będzie coś o Herondasie i... i... baubonie?

– Być może. Najpierw muszę wyrzucić z głowy Niobe i zemstę bogini Leto. Premiera wkrótce – odrzekł i oparł się o biurko.

– A tak, czekamy na Niobe! – zawołał ktoś spod drzwi.

Jung kiwnął głową i wypowiedział standardową formułkę, że jeśli nie ma więcej pytań, to można się pożegnać. Życzył studentom powodzenia na egzaminach i przyjemnego lata. Poczuł ukłucie żalu, kiedy sala pustoszała. Obszedł biurko, otworzył plecak i zaczął wrzucać do niego książki, w które powtykane były luźne kartki. Wszystko mu się pogniotło i pomięło. Jak zwykle. Zgarnął z blatu długopisy, butelkę z wodą mineralną i etui na okulary. Wreszcie wyprostował się i zarzucił plecak na ramię. Wtedy ją zobaczył. Zapadła głucha cisza. Poza nimi w sali nie było już nikogo.

– Cześć. Miło cię widzieć – powiedziała. W jej głosie słyszał delikatną chrypkę, zupełnie jak siedemnaście lat temu.



Nie wyobrażał sobie, żeby tak po prostu rozmawiali na uczelni. Wspólna kawa, ona i on przy jednym stoliku, pobrzękiwanie naczyń, wokół gwar, muzyka i mnóstwo znajomych twarzy. „Dzień dobry, panie profesorze”. „Cześć, Mirek! Pożyczyłem od ciebie z gabinetu krzesło, bo nie miałem gdzie ludzi usadzić na konsultacjach”. To byłby z pewnością Stefan, specjalista od sofistów. Zawsze po „cześć” informował go, że coś sobie pożyczył. W uczelnianej kawiarni zjawiłyby się również inne osoby, które Mirek znał. Wszyscy patrzyliby na nią i zastanawiali się, kim jest. Nigdy nie widziano tutaj doktora Junga w towarzystwie kobiety „z zewnątrz”. Nie chciał wprowadzać jej do tego świata nawet na chwilę i nie zamierzał się nikomu z niczego tłumaczyć.

Kiedy szli do Rynku, nie odzywali się do siebie słowem. Mirek zastanawiał się oczywiście, czego od niego chce, ale marzył również o tym, by jak najszybciej zniknęła. Panował nad mimiką i gestami, starał się utrzymać wrażenie – jakie z pewnością wywarł na niej w sali wykładowej – pewnego siebie człowieka. Może nawet człowieka sukcesu. Widział wyraźnie, jak bardzo była zaskoczona. Różnił się od tamtego Mirka Junga, którego znała przed kilkunastoma laty. „Kiepsko rokujący”, takimi słowami określiła – i zakończyła – ich związek, kiedy widzieli się po raz ostatni w Heraklionie. Ostatecznie jednak ruszył z miejsca, poradził sobie. Tego się pewnie nie spodziewała. A on? Czego się po niej spodziewał? Nie miał pojęcia. Nie przypuszczał, że jeszcze się spotkają.

Skręcił w boczną uliczkę i wybrał maleńką kafejkę. Szła posłusznie za nim, a kiedy zajęli stolik, poprosiła o kawę, czarną i mocną. Zamówił to samo i zanim pomyślał, wyjął z plecaka listek tabletek przeciwbólowych. Zaklął w duchu i obrócił go w dłoniach.

– Nie uporałeś się z tym? – zapytała cicho.

Wsyłała do swojej filiżanki dwie czubate łyżeczki brązowego cukru. Zachowała zatem upodobanie do mocnej, czarnej i konkretnie osłodzonej kawy. Siedemnaście lat temu tylko tyle była w stanie przełknąć o poranku, a kiedy około jedenastej burczało jej w brzuchu i zaczynała napomykać o śniadaniu, zawsze narzekał, że nabawi się wrzodów. Po tym, co się stało z matką Agi, na krótko zamieszkali razem i Mirek każdego dnia serwował na śniadanie tosty z patelni. Siadała skrzywiona nad talerzem i skubała jeden, mamrocząc, że nie ma apetytu i nastroju, a na dodatek tosty z patelni są niewiele zdrowsze niż kawa. Pilnował jednak, by zawsze coś przełknęła. Nie umiał jej wtedy pocieszyć, więc skupiał się na tym, by chociaż zanadto nie wychudła. Teraz z pewnością nikt się na tym nie skupiał. Mirek zerknął na jej patykowate nadgarstki i kościste obojczyki. Nadal, jak widać, nie miała apetytu i nastroju.

„Z tym”. Zazgrzytał zębami. Wiedział aż za dobrze, co miała na myśli. Te jego cholerne bóle głowy... Nie, nie uporał się z nimi. Teraz było lepiej niż dawniej, ale w takich chwilach – zdenerwowania i niepewności – miał wrażenie, że wokół jego czaszki zaciska się obręcz. Popijał wtedy lek przeciwbólowy kawą, bo dzięki temu działał szybciej i skuteczniej. Neurolog powiedział mu kiedyś, że to na pewno emocjonalne. Mirek był zdrowy. Miał za sobą etap tomografów, rezonansów, EKG, USG, pobierania krwi i pieczołowitego dobierania odpowiednich okularów korekcyjnych, podobnie jak etap ćwiczeń relaksacyjnych, codziennych półgodzinnych spacerów, jazdy na rowerze do pracy i wyciszania się przy leniwych dźwiękach pianina. Ponieważ nic nie działało – wrócił do leczenia objawów.

Rzucił listek na stół i spojrzał jej w oczy. Zgarbiła się lekko, zrobiła to automatycznie, jak gdyby wcześniej ćwiczyła ten ruch wielokrotnie. Miał wrażenie, że za chwilę zacznie przepraszać. Skąd

właśnie taki odruch? Nie zauważył go u niej przed laty, a przecież doskonale pamiętał wszystko inne. Nawet jeśli wcale tego nie chciał. Spróbował się nieco rozluźnić. Ból rozsadzał mu już czaszkę na dobre.

– Miewam lepsze i gorsze dni – powiedział.

– Podobnie jak ja – odrzekła szybko.

– Jeśli przyjechałaś, żeby mi opowiedzieć o swoich wzlotach i upadkach, to trafiłaś pod zły adres. Jak już na pewno zdążyłaś się zorientować, interesują mnie zupełnie inne historie.

– Zauważyłam. Gratuluję sukcesów. Oglądałam wszystkie... prawie wszystkie twoje nagrania.

To był ten moment, kiedy musiał jej się przyjrzeć. Nie mógł się powstrzymać. Już po drodze z uczelni do Rynku zauważył kilka szczegółów, ale lata ćwiczenia się w samodyscyplinie, jaką sobie narzucał, pomogły mu zapanować na ciekawością. Do czasu. Teraz siedziała przed nim właśnie ona, choć jej akurat najmniej się spodziewał. Wystawiała się na ciosy i zupełnie nie próbowała się bronić. Wziął głęboki wdech.

Brazowe włosy, krótsze niż dawniej, ale tak samo gęste i ciężkie. Teraz kontrastowały jeszcze mocniej z całą resztą – z jej wychudzoną sylwetką, przekrwionymi oczami i drobną siateczką pierwszych, choć już wyraźnie widocznych zmarszczek. Płytką pozioma kreska biegnąca wzdłuż czoła. Makijaż zredukowany do minimum. Zęby wciąż ładne, białe, mimo że – jak widać – nie wyzbyła się kawowego nałogu. Paznokcie krótkie. Czarna bawełniana koszulka, wąskie granatowe dżinsy i tenisówki. Płócienna torba. Delikatna opalenizna. Perfumy z nutą owocową. Te same co kiedyś lub podobne. I jeszcze inny zapach, ziołowy, ledwie uchwytny. Głos wciąż zachrypnięty, teraz nieco niższy. Ruchy bardziej nerwowe, szybsze. Rysy twarzy ostrzejsze, a cała sylwetka bardziej kanciasta, niemal chłopięca. Gest odrzucania włosów na plecy mniej wdzięczny, pozbawiony cienia



kokieterii, głowa pochylona, ramiona zaokrąglone, łopatki wystające. Patykowate nadgarstki. Zaczerwieniona i sucha skóra na dłoniach.

Aga Rydarowska nie była już tą samą piękną młodą kobietą, która nazwała ich związek „kiepsko rokującym”. Wyraźnie nie zależało jej na tym, by robić wrażenie na kimkolwiek, a zwłaszcza na nim. Nie wystroiła się z tej okazji, nie przyjechała tu, by mu się przypodobać. Ani – najwidoczniej – żeby go przeprosić. Mirek przez chwilę walczył z uczuciem rozczarowania i był na siebie zły za te refleksje. Cel wizyty Agi nie powinien go interesować.

– Drugi podobał mi się najbardziej. Twój film – odezwała się znowu. – O wyprawie po złote runo. Każdy kiedyś o niej słyszał, ale ujął mnie sposób, w jaki nawiązałeś do morza i łodzi jako symboli życia. Mam dokładnie takie samo zdanie. Morze to życie w wymiarze otwartym. Upływające lata, fale sukcesów i porażek, bezkres, nad którym nie da się zapanować. Łódź to życie w wymiarze zamkniętym. Rzeczy, które człowiek gromadzi, bagaż, z którym rusza w drogę. Moim zdaniem też... wszystko to, co ogranicza. Brak środków do osiągnięcia celu. Niemoc. Bariery natury fizycznej. Sposób, w jaki opowiedziałeś tę historię, był niezwykle. Chyba zawsze chodzi o sposób, w jaki się opowiada.

– Czego chcesz? – wtrącił się, lecz nawet na niego nie spojrzała. Obracała w dłoniach pustą filiżankę po kawie i uśmiechała się smutno.

– Myślę, że czwarte nagranie nie było aż tak porywające – kontynuowała – ale zwróciłam w nim uwagę na coś zupełnie innego.

Podniosła głowę i nie zdołał uniknąć jej spojrzenia. Zamierzał ponownie zapytać, czego chce, i słowa uwięzły mu w gardle. Stracił pewność siebie i wiedział, że to zauważyła. A z drugiej strony ona sama wydała mu się nagle słaba i zrezygnowana. Walczył ze sobą, by nie dociekać dlaczego.

– Na co zwróciłaś uwagę? – zapytał wreszcie.

– Na wstępie do akcji właściwej z udziałem Dedala. Dedal to zawsze człowiek od labiryntu. Mądry budowniczy i konstruktor. Roztropny ojciec, który przestrzega syna przed promieniami słońca. Ale co działo się wcześniej? Dlaczego Dedal znalazł się na Krecie? Kim był? Mało kto pamięta, że dopuścił się morderstwa i dlatego musiał opuścić Ateny. Zwróciłam też uwagę na bohaterów. Starasz się ich zrozumieć. Chcesz im to i owo odpuścić. Są jak my. Momentami tak niedoskonali i słabi, że budzą współczucie.

Umilkła i na powrót zaczęła się bawić filiżanką. Mirek przy-  
mknął oczy. Miała rację. Tę właśnie historię w micie o Dedalu lubił  
najbardziej. Bo dotyczyła zwykłych ludzi i zwykłego zdarzenia –  
podobnego do tych, które rozgrywały się wcześniej i później, które  
działy się pod wpływem niemożliwych do opanowania emocji.  
Dedal był nie tylko utalentowany, mądry i rozsądny. Był również  
człowiekiem pełnym pychy i zazdrośnym. I dlatego zabił.

– Cieszę się, że zwróciłaś na to uwagę – odezwał się wreszcie.

– O kim będzie następny film?

– O Niobe.

– Kolejna postać, którą gubi poczucie wyższości. Wobec  
każdego, nawet wobec bogów.

– Tak.

– Ból nie przeszkadza ci w pracy?

Wydawało mu się, że jej głos dobiega zza ściany, że Aga mówi  
do kogoś innego, a on jest tylko intruzem i podsłuchiwcem.  
Miał ochotę powiedzieć: „Nie twoja sprawa”. I właśnie to praw-  
dopodobnie powinien zrobić. To rzeczywiście nie była jej sprawa,  
nie rozumiał, dlaczego zadała takie pytanie i czekała teraz na od-  
powiedź. Odstawiła filiżankę i położyła dłonie na stole. Miał  
wrażenie, że za chwilę przestanie oddychać. Była skrępowana  
tą rozmową, choć sama o nią zabiegała. Aga również zdawała

sobie sprawę, że sytuacja, w której się znaleźli, prawdopodobnie nie powinna mieć miejsca. Nie powinni pić razem kawy, zmuszać się do rozmowy, opowiadać sobie o swoim życiu. To wszystko nie powinno się dziać – a jednak się działo. Dlaczego?

Mirek wzruszył ramionami.

– Kiedy pracuję, jest lepiej. Zajmuję myśli czymś innym. Nie denerwuję się.

Nie miał ochoty rozwijać tematu i szczegółowo opisywać zjawiska, którego sam wciąż nie rozumiał. Nie chciał myśleć o tym, że jest coś, nad czym nie panuje, wobec czego pozostaje bezbronny. Że nie rusza się z domu bez listka tabletek przeciwbólowych, nawet jeśli codziennie próbuje i nawet jeśli raz zdołał przejechać bez nich całą drogę do pracy tylko po to, by po wyjściu z auta pobiec do najbliższej apteki. Ostatecznie jednak do osiągnięcia sukcesu potrzeba małych kroków.

– A ta druga sprawa? Nadal ją... rozpamiętujesz? – urwała i zacerwieniła się. Jej ruchy stały się jeszcze bardziej nerwowe, a dłonie ponownie objęły pustą filiżankę.

Mirek z trudem przełknął ślinę. Skinął na kelnera i zamówił wodę. Oczywiście wiedział, o co konkretnie pyta, nie miał tylko pojęcia, jak odpowiedzieć. Spędzili ze sobą niecałe pół godziny, a ona już zdążyła wziąć nad nim górę. Mogła się garbić i sprawiać wrażenie spiętej, ale musiała czuć, że wolno jej przekraczać kolejne granice, nawiązywać do wydarzeń, o których próbował zapomnieć. Musiała mieć pewność, że on nie zareaguje gniewem i nie okaże jej pogardy. A zatem jakimś cudem wiedziała także to, że nie całkiem się zmienił.

– Czasami – wymamrotał, zgodnie z prawdą.

Aga pokiwała głową i odstawiła filiżankę na spodek. Przez chwilę wpatrywała się w swoje dłonie, w drgające lekko palce i zacerwienione kostki.

- Czego chcesz? Dlaczego przyjechałaś? – zapytał znowu, nieco łagodniej niż poprzednio.
- Chciałabym ci opowiedzieć pewną historię – odparła bez zająknięcia.
- Słucham?
- Pokażę ci kilka zdjęć.



Jung miał wrażenie, że telefon Agi pływa w jego dłoni. Położył komórkę na stole i wytarł ręce w spodnie. Koszula przykleiła mu się do pleców, a serce biło szybko. Wstydził się tych emocji, zwłaszcza przed nią. Nie chciał pokazać po sobie entuzjazmu, nagłego skoku ciśnienia na widok kilku zdjęć, o których chwilę wcześniej wspomniała. Ale ona i tak wiedziała, jakie wywrą na nim wrażenie. Taktownie milczała i czekała, aż Mirek odezwie się pierwszy.

Ponownie zerknął na ekran. Aga pokazała mu kilka fotografii starego dokumentu, który musiał być czyjś dziennikiem. Nie zrobiła żadnego wprowadzenia, nie powiedziała, co to za zapiski ani w jakich okolicznościach wykonała zdjęcia. On jednak już wiedział, gdzie je sporządzono. Współczesna greka nie sprawiała mu najmniejszych problemów, nawet jeśli na co dzień czytał raczej teksty antyczne i był za pan brat z dialektem starojońskim, jońskim i dorskim, z koturnowym stylem greckiej tragedii, heksametrem, cholibambem i trochejem. Za talent do języków obcych – kolejny dar, który otrzymał od natury, zaraz po doskonałej, niemal fotograficznej pamięci – był bardzo wdzięczny. Mirek nie wiedział, ile jest dwa dodać dwa, i przez cztery lata liceum nie do końca rozumiał, jakim cudem zalicza sprawdziany z fizyki, ale szybko zaczął się orientować, z czym radzi sobie naprawdę dobrze. I jak to wykorzystać.

Pulsowanie pod kopułą czaszki nie mijało, a raczej jeszcze się nasiliło. Zamówił kolejną kawę i chwycił listek z tabletkami przeciwbólowymi. Litery na ekranie telefonu zaczęły się rozmywać, drżały mu dłonie. Poczul też znajomą sztywność karku i mrowienie w okolicy lewego oczodołu. Zapiski... Zebrał się w sobie i wczytał w nie ponownie. Kilka zdań szczególnie rzuciło mu się w oczy. Jego umysł mimo zmęczenia pracował na najwyższych obrotach. Jak zwykle.

Trucizna, samobójstwo, imię pewnej dziewczyny, cytat z Biblii, trąd, wyspa, więzienie, samotność, odrzucenie, utrata nadziei, kontakt wzrokowy, wyszeptane imię, rozmowa z lekarzem, podejrzenie. Śmierć na wyspie umarłych. Wyspie ciszy. Wyspie łez. Coś się nie zgadzało. Nawet teraz to widział, w tych kilku luźnych fragmentach.

Cytat, imię pewnej dziewczyny. Trąd, trucizna. Wyspa.

Mirek odłożył telefon i podziękował kelnerowi za kawę. Wsunął do ust tabletkę i popił ją gorącym napojem, parząc sobie wargi i język. Wiedział, że za chwilę poczuje ulgę. Wiedział też, że nie powinien w taki sposób radzić sobie z bólem. To było pójście na łatwiznę i prowadziło do uzależnienia. Tak. Prowadziło. Albo już doprowadziło.

Aga uśmiechnęła się, ale wypadło to sztucznie.

– Zapisków jest więcej. To stary dziennik, choć kartki się trzymają i atrament nie zbladł. Zrobiłam tylko kilka zdjęć – powiedziała. Widać nie mogła już znieść przedłużającej się ciszy.

– Gdzie znalazłaś te notatki?

– Dostałam je.

– W spadku?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? To ciekawe. – Chciał, by w jego głosie pobrzmiwała ironia, lecz komentarz wypadł złośliwie. Nie przeprosił, choć wiedział, że powinien.